Numer 32 Dnia 10 sierpnia 1913.



TYGODNIK OBRAZKOWY NA NIEDZIELĘ KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Nowe zwierzę.

— Iciu! Z czego jest twój surdut?
— Ze sukna.
— A sukno z czego?
— Z wełny.
— A wełna?
— Z barana.
— Od jakiego zatem zwierzęcia masz ten czarny surdut?
— Od mojego tate!

Niefachowy.

Sędzia: Kradzież z włamaniem, tak jak ją podsądny podaje, jest wprost niemożliwa w wykonaniu.

Podsądny: Eh, co się pan sędzia na tęm zna.

— Słucham! słucham!

Ale nie słuchał i od drzwi wcale się nie oddalał.

A kapitan tymczasem, jeden z tych krewkich, natur, czy może chory jeszcze, dość, że nagle ucichł, począł ciężko oddychać i padł na fotel z widocznemi oznakami nagłego osłabienia. Przez chwilę, w ciszy, jaka nagle zapanowała, słychać było tylko jego świszczący, krótki oddech, a potem rzekł do żandarma:

— Zawołaj mi pokojowej! Beli!

Żandarm wybiegł, a kapitan Rotkirch zwrócił się do szpiega i zapytał:

— Czego bydlę przeklęte tu stoisz? Czego chcesz?

— Wybacz, Wielmożny Panie — odrzekł głosem pokornym, ale w którym czuć było dreszcze hamowanego gniewu — ale zapewne nie powiedziano panu, iż do tego domu schronił się ważny zbrodzień polityczny, jeden z tych, którzy dokonali zamachu na Jaśnie Oświeconego namiestnika.

— W tym domu? Zbrodzień polityczny? Co? Ty zwaryowałeś, zwierzę jakieś, padlino cuchnąca! Ruszaj mi zaraz, bo każę cię wziąć za kołnierz i wyrzucić za drzwi.

— Wybacz, Wielmożny Panie, ale ja nie mogę stąd ruszyć się, ja ścigam tego człowieka od dwóch godzin, on jest moją własnością.

Kapitan znów wpadł w straszne uniesienie. Bił pięścią po stole, tupał nogami, a oddech jego coraz bardziej świszczącym się stawał i głos był coraz słabszy:

— Won łotrze! wszarzu... Hej! jest tam kto? Wyrzucić mi to bydlę...

I nie wiem, co się tam dalej działo, gdyż uwagę moją zwróciły drzwi, otwierające się w głębi i szelest sukni kobiecej i zawsze dla mnie miły zapach fiołków.

— Dusiu — szepnąłem — czy to ty?

— Ach, to ty... ty... Walery... tutaj?

I uczułem na mej szyi te ciepłe ramiona, których uścisk gorący był jednem z najmilszych wspomnień mego życia, okrasą mej młodości chmurnej i burzliwej. I teraz przycisnąłem tę drogą postać do piersi i zapomniałem o świecie całym, o strasznem, zagrażającem mi niebezpieczeństwie, o wrzawie, która tam w kancelaryi Rotkircha panowała i dzięki której mogliśmy oboje swobodnie rozmawiać. Ale Józefiina pierwsza przyszła do siebie, pierwsza odzyskała przytomność i świadomość rozpaczliwej mojej sytuacyi.

— Na miłość Boską — zawołała — co ty tu robisz?

— A cóż? Wpadłem w ręce twego męża.

— Mego męża? — szepnęła z wyrazem niewysłowionej ironii, ale zaraz potem spytała:

— Więc grozi ci niebezpieczeństwo?

— Naturalnie.

Chwilkę pomyślała, a tymczasem w sąsiednim gabinecie uniesienie kapitana dochodziło do ostatecznych krańców. Tupał nogami, bił pięścią o stół i głosem ochrypłym krzyczał:

— Wyrzućcie mi za wrota tę kanalię przeklętą!

Krzyki te rozlegały się donośnie, a za każdem podniesieniem głosu kapitana, uważałem, że Józefinę dreszcz nerwowy przenikał.

— Nie mamy ani chwili czasu do stracenia — szepnęła ona, chwytając mię silnie za rękę — chodź za mną.

Machinalnie poszedłem za nią. W tej chwili nie szło mi tyle o ocalenie siebie samego, ile o to, żeby być przy Józefinie. Szliśmy przez kilka pokoi ciemnych zupełnie, w których tu i ówdzie tylko jakieś przedmioty błyszczały, potrącałem meble, na co Józefina sykała, szepcząc:

— Cicho! Na rany Boskie, cicho!

Idąc ciągle, słyszałem gniewny głos kapitana Rotkircha i zgoła nie rozumiałem, dlaczego mamy iść cicho, skoro pan domu i jedyny człowiek, który mógł mej ucieczce przeszkodzić, był mocno w tej chwili zajęty wyrzucaniem za drzwi szpiega, »kanalii przeklętej!« Tak przyszliśmy do pokoju większego, prawdopodobnie salonu, z którego duże drzwi szklane, w tej chwili na pół uchylone, wiodły po schodach do owego parku, w którym niedawno tyle krwawych scen odegrał mój Burczymucha.

Józefina, sprowadziwszy mię ze schodów tarasu, postąpiła jeszcze kilka kroków, by się znaleść w cieniu, jaki tworzyły drzewa, tu rzuciła mi się na szyję i zaczęła mię całować, szepcząc:

— Mój najdroższy, mój najmilszy, mój jedyny!

— Słówko — rzekłem — czy odebrałaś mój ostatni list, przysłany przez Adolfinę?

— Nie!...

— I nie wiesz, co się stało z tą dziewczyną?

— Nie wiem. Ale dowiem się, teraz uciekaj. Tam są wszyscy zajęci. Ach! jak on krzyczy!

W rzeczy samej, Rotkirch nie przestawał krzyczeć, a te jego wrzaski, które aż tu dochodziły i zakłócały majestatyczną ciszę ogrodu, świadczyły, że sprawa jeszcze się nie skończyła i że mamy przed sobą parę chwil wolnego czasu.

— Chcę z tobą pomówić — szeptała dalej Józefina — jutro o dziesiątej rano będę w kościele św. Krzyża, w lewej nawie. Czekaj tam na mnie; a teraz uciekaj. Wiesz którędy, prosto główną aleją, ale trzymaj się zawsze cienia.

Jeszcze raz zwisła mi na szyi, jeszcze jeden pocałunek i sama popchnęła mię do ucieczki. Czas już był wielki, bo krzyki kapitana Rotkircha zupełnie ustały, prawdopodobnie »kanalię« szpiega wyproszono za drzwi i miano się mną teraz zająć.

Otrzyj z oczu łzy!



Porzuć, dziewczę, złudne sny,
Otrzyj z oczu twoich łzy...
Z marzeniami bieda,
Łza ci szczęścia nie da!
Otrzyj, dziewczę, z oczu łzy,
Porzuć, porzuć złudne sny!

Na twarzyczkę niech
Spłynie jasny śmiech!
On ci życie rozpromieni,
W jeden uśmiech całe zmieni,
Bo śmiać się nie grzech,
Bo radością śmiech!

Jeśli dusza twa,
Czysta jako łza,
Do uśmiechu twarz jest skora,
Wtedy smucić się nie pora,
Ale... Hej! raz dwa!
Śmiać się: Ha!... ha... ha!!...

A więc otrzyj z oczu łzy,
Porzuć, które trapią, sny:
Łza ci szczęścia nie da,
Z marzeniami bieda.
Porzuć, dziewczę, złudne sny,
Otrzyj, otrzyj z oczu łzy!

Antoni St. Bassara.

Ile zdobyczy pozostanie Bułgaryi?

Co do rozmiarów Bułgaryi, w razie utraty wszystkich tych terytoryów, o które obecnie toczy się wojna, dzienniki podają różne sprzeczne informacye. »Zeit« wiedeńska twierdzi, na podstawie swych obliczeń, iż mimo utraty tych terytoryów, Bułgarya pozostanie najsilniejszem państwem na Bałkanach.

Bułgarya, pisze »Zeit«, żądała po zakończeniu wojny z Turcyą od Grecyi oddania Salonik, od Serbii odstąpienia strefy tak zwanej niespornej i części strefy spornej. Owo terytoryum, którego Bułgarya się od Serbii domagała, miało 10.240 kilometrów kwadratowych.

Czy istotnie bez tych 10 tysięcy kilometrów kwadratowych Bułgarya nie mogła się obyć? Bezwarunkowo mogła. Obszar Bułgaryi przed wojną wynosił 96 000 kilometrów kwadratowych. Bułgarya zabrała Turcyi podczas wojny 52.000 kilometrów kwadratowych. Gdyby więc Bułgarya zrezygnowała z przyrostu owych 10.000 kilometrów kwadratowych, to w każdym razie miałaby 148 tysięcy kilometrów kwadratowych razem z nowemi zdobyczami.

Serbia zdobyła na Turcyi 36.000 kilometrów kwadratowych. A ponieważ do tej pory Serbia miała 48.000 kilometrów kwadratowych, przeto z nowymi nabytkami Serbia miałaby wszystkiego 84.000 kilometrów kwadratowych, czyli Bułgarya byłaby jeszcze o 75 procent większa, niż Serbia.

Ten rachunek i tak już korzystny dla Bułgaryi, przedstawia się jeszcze lepiej, jeżeli uwzględnimy liczbę mieszkańców. Bułgarya miała przed wojną 4 miliony 350 tysięcy mieszkańców, Serbia 2 miliony 900 tysięcy mieszkańców.

Po wojnie Bułgarya, która zabrała kraje najbardziej zaludnione, miałaby 7 milionów mieszkańców. Serbia zaś tylko 4 miliony mieszkańców. Bułgarya przeto byłaby co do ludności przeszło 75 procent większą, aiżeli Serbia.

Rumunia liczy 131 tysięcy kilometrów kwadratowych i 7 milionów mieszkańców. Bułgarya tedy bez Saloniki i bez owych 10.000 kilometrów kwadratowych, które chciała odebrać Serbii, byłaby od Rumunii większą o 17 procent kilometrów kwadratowych, a co do ludności równałaby się Rumunii. Za kilka lat co do ludności Bułgarya przewyższyłaby Rumunię, tak, iż Rumunia miałaby wszelkie powody bać się tego przeciwnika nawet wtedy, gdyby Bułgarya zrzekła się była Salonik i 10 tysięcy kilometrów kwadratowych w Macedonii.

Obecnie, po nieszczęśliwej dla Bułgaryi wojnie, ta ostatnia wyrzeknie się tylko Salonik i 10 tysięcy kilometrów kwadratowych w Macedonii na rzecz Serbii.

Terytoryum, które zabierze Rumunia na linii Turtakaj-Bałczyk, ma do 6000 kilometrów kwadratowych. W każdym więc razie Bułgarya dostanie przy rozdziale Turcyi europejskiej największą część terytoryum i będzie o 75 procent większą co do liczby ludności i co do rozmiarów, aniżeli Serbia. Będzie tedy największem albo prawie największem państwem z wszystkich państw bałkańskich. Jedyną trwałą stratą, to będzie utrata powagi dyplomatycznej i rozgłosu wojennego. O zniszczeniu Bułgaryi niema mowy, przeciwnie, Bułgarya pomimo przegranej wojny uzyska jeszcze niesłychanie wiele i będzie daleko silniejszą, aniżeli Serbia.

Wskutek jednak wojny wszystkie państwa bałkańskie będą na dłuższe lata osłabione, z wyjątkiem Rumunii, która zyskuje znacznie na powadze.

W drodze do obozu.

(Obrazek z powstania styczniowego).

VII. Spotkanie z Moskalami.

Tymczasem przestrzeń, dzieląca kondukt pogrzebowy i wojsko, zmniejszała się z każdym krokiem. Już pierwsi jeźdźcy zrównali się z krzyżem: Wojciech Lany, zacisnąwszy kurczowo palec około drzewca, wszedł śmiało w rozsnuwające się szeregi konnicy, a za nim niosący trumnę w otoczeniu lamentujących kobiet, na ostatku wozy. Tak, nie przerywając śpiewu, bez oznak zmieszania, choć serca im trwożnie biły w piersiach, minęli jezdnych, dążąc wprost na rotę piechoty.

— Czto eto? (Co to jest?) — zapytał oficer, dowodzący najbliższym oddziałem, wskazując na lamentującą kompanię.

— Pokojnika wiezut! (Nieboszczyka wiozą) — uspokoił oficera plutonowy.

— Niet li miezdu nimi sluczajno buntowszczykow? (Czy przypadkiem niema między nimi powstańców?)

— Died z kvestom choroszo mnie znakom, on zdiesznij! (Dziad z krzyżem jest mi dobrze znany, on tutejszy! — wtrącił jeden z szeregowców.

— Nu, a kto umier? — zapytał plutonowy nadchodzącego Przewoźnika.

Niosący trumnę stanęli.

— Otec Dawyluk, tam iz Zakręcia, wasze blawpodie, choroszij czelowek był, nu i umier, ta go wiezut na smentorz do fary. Tam jeho baba, tože nie dolgo potianiet (nie długo pociągnie) grudi słabyje, duchata.

Dalsze słowa tłómacza zagłuszyła dobrze udanym lamentem wdowa-Jasieński, który widząc spojrzenia żołnierzy zwrócone na siebie, by obudzić współczucie w ich sercach, począł piskliwym głosem zawodzić:

— Oj! kto mi cię wróci, biedocku, oj, kto mi cię wróci. Nazyłeś się, nazył, nie twoja juz chudoba, co jo samiuteńko pocne przez ciebie! Ani cie jo rano, ani cie jo wiecór nie ujrze...

Żołnierze smutnie pospuszczali głowy, a myśli niejednego uleciały do rodzinnych chat, do ojców, do matek, które może z tęsknotą oczekują powrotu synów...

Po chwili przygnębiającej ciszy dowódca dał znak do dalszego pochodu. Gdy szeregi ruszyły, Przewoźnik znów zaczął »Zdrowaś Marya«, a z piersi powstańców płynęła teraz rzewna modlitwa dziękczynna za szczęśliwe rozstanie...

VIII. Zakończenie.

— Kumie! weźcie ze mnie trumnę, bo się uduszę od śmiechu — odezwał się Michał Koperny do idącego obok Przewoźnika, gdy już spory kawał drogi oddzielił ich od Moskali.

— Nieście jeszcze, bo nuż spotkamy tylną straż minionego wojska. Dyabeł nie śpi — będziemy się śmiali z głupich Moskalisków w lesie!

Kiedy kondukt, już bez śpiewu, stanął na wzgórku, z którego niedawno zeszła rosyjska kolumna, Gwozdecki, rozglądnąwszy się dokoła po okolicy, zawołał wesoło:

— Teraz, wiara, znów na wozy i jazda galopem w lasy sandomierskie. Tam brátni obóz nas czeka, rodacy nas przyjmą piosenką... a zapewne niezadługo pokażemy Moskalom naszego nieboszczyka.

Ks. Paweł Wieczorek.

Podróżni w Anamie.



W Azyi wschodniej znajduje się wielkie państwo Anam, składające się z dwóch krain: Tonkinu i Kochinchiny. Ludność stanowią Indowie i Chińczycy, wyznający religię Buddy, religię założoną jeszcze 600 lat przed Chrystusem, którą wyznają mieszkańcy Azyi wschodniej czyli czwarta część wszystkich ludzi, żyjących na świecie.

Anam należy do Francyi, czyli właściwie jest pod jej opieką. Ludność trudni się uprawą bawełny, ryżu, trzciny cukrowej, pieprzu it.p. Mieszkańcy, szczególniej z gór, udają się często w podróż, zabierając ze sobą na drogę potrzebne zapasy żywności. Żywność biorą do dużego kosza, który ma pod spodem podporę w rodzaju laski, chociaż cały kosz nie jest zbyt ciężki, zawiera on bowiem w sobie ryż i suszone ryby. Są to pokarmy, którymi się krajowcy żywią. — Na obrazku naszym widzimy kilka kobiet i mężczyznę, przygotowanych do wyruszenia w drogę. Stoją w dolinie, wśród gór, przez które mają zamiar wyruszyć w dalsze okolice.

Tajemnice fakirów.

W ciekawej książce »Fakirowie w starożytnych i współczesnych Indyach« zebrał pewien autor niemiecki bogaty materyał o Fakirach-Joginach. Na fakirów w ogólności zapatruje się autor dość niechętnie, uważając ich za sprytnych oszustów, nic nie mających wspólnego z jakąkolwiek siłą nadprzyrodzoną; wyjątek wszakże stanowią właśnie Jaginowie, których nauka zasługuje bezwarunkowo na zbadanie umiejętne. Autor ów opisuje doświadczenia niejakiego Hassana-Hana, który zresztą nigdy nie był fakirem z zawodu, ale czasem w ciasnem kółku osób dokonywał istotnie rzeczy niezwykłych. Zalecał n. p. jednej z osób obecnych prosić o wino; należało wtedy tylko wyciągnąć rękę za drzwi lub pod stół, a w tejże chwili w ręku znajdowała się butelka z etykietą znanej w Kalkucie firmy; tą samą tajemniczą drogą ukazywały się ciastka, cygara i t. p.

Ciekawe »cuda« niejakiego Gowidoswanima opisuje jeden z naocznych świadków:

»Rozsypaliśmy drobny piasek na podłodze, ja zaś usiadłem przy stole, mając w ręku ołówek i arkusz papieru białego; fakir położył ostrożnie laskę na piasku i oznajmił mi: — »W chwili, gdy laska podniesie się, możesz rysować, co zechcesz na papierze, ona odda rysunki twoje na piasku«. — Fakir wyciągnął rękę przed siebie, laska zaczęła się poruszać i znaczyć na piasku najwyszukańsze rysunki, kreślone przemnie na papierze. Gdy zatrzymałem się, laska stawała nieruchomie; próbowałem zakrywać swoje rysunki, ale nie miało to żadnego wpływu na tajemniczą laskę. Fakir stał zdaleka«.

Jeszcze ciekawszem jest następujące doświadczenie: Fakir bierze kłębek i podrzuca go w górę, od tego ruchu kłębek się rozwija, jeden koniec liny zwiesza się na ziemi, drugi gubi się w przestrzeni wobec zdziwionego ludu. Wtedy fakir rozkazuje małemu chłopczykowi wleść po linie w górę, chłopak zręcznie podskoczył i wkrótce znikł w wysokościach, fakir kilka razy rozkazuje chłopcu wracać, ale napróżno... wreszcie schwyciwszy nóż, sam podnosi się po linie i znika z oczu widzów. Trwa tak kilka minut... z góry dają się słyszeć rozpaczliwe krzyki i spadają kolejno okrwawione: głowa, ręce, nogi, tułów nieposłusznego chłopca, tłum z trudnością hamuje oburzenie, fakir zaś, takby chcąc naprawić skutki swego niepohamowanegn gniewu, składa starannie członki dziecka, które w oczach widza zrastają się, nabierają życia i wkrótce stoi przed czarodziejem uśmiechnięty chłopczyna.

To przedstawienie urządzali Joginowie nie raz. Jest ono szczegółowo opisane w protokóle, podpisanym przez licznych świadków tego dziwnego zjawiska. Jakież byłoby ich zdziwienie, gdyby zobaczyli fotografię Amerykanina, ilustrującą te objawy w najtragiczniejszej chwili: fakir i jego mały towarzysz siedzą nieporuszeni na ziemi i oprócz nich nic nie widać. Otóż fakir tylko opowiada, co ma się zdarzyć, a publiczność pod wpływem słów jego i zaklęć widzi niestworzone rzeczy. Mniej nerwowa błonka fotograficzna nie mogła się poddać suggestyi czarodzieja. Publiczność zaś była zahypnotyzowana.

Sędzia francuski w Chanoernagor, p. Jacoliot, opowiada jeszcze o innem doświadczeniu, tym razem jednak nie sprawdzonym fotograficznie. Fakir postawił na środku pokoju małą miedniczkę, której używają w Indyach do palenia wonności, a napełniwszy pachnącemi ziołami, zaczął wymawiać zaklęcia. Sam stanął nieruchomy, jedną ręką oparty o kij bambusowy, drugą trzymał przy sercu. Sądziłem, że to, jak w poprzednim doświadczeniu, tylko złudzenie, ale nie. Widziałem, jak od czasu do czasu przykładał rękę do czoła. Naraz uczułem wstrząśnienie, a pokój napełnił się mgłą o fosforycznem świetle. Zwolna zacząłem rozróżniać szereg rąk, niektóre jakby przeźroczyste, inne naturalne. Naliczyłem 16 rąk. W chwili, gdy chciałem się zapytać fakira, czy mogę dotknąć ręki, jedna z nich wysunęła się z szeregu i uścisnęła moją. Była mała, miękka, jakby ręka kobiety. Te objawy trwały parę godzin. Jedna ręka rzucała kwiaty, inna gładziła mię po twarzy, inna kreśliła na ścianie niezrozumiałe wyrazy, które jaśniały jaskrawem światłem, aby po chwili zgasnąć.

Krzyż w sali sądowej.

W pewnem mieście, w sali sądowej, jest spory krzyż kamienny, z wizerunkiem Zbawiciela, a na nim napis wielkiemi literami, wypisane po łacinie: »Będę sądził sprawiedliwość waszą«. Krzyż ten taki, jak każdy inny, ale dziwny na nim obraz Chrystusa, który jakby ze zgrozy, poza siebie twarzą się obrócił, że jej nic nie widno.

Podanie ludowe tak opowiada o tym krzyżu: Procesowała się razu jednego uboga wdowa z wielkim bogaczem, który, niesłusznym sposobem, wydarł jej cały majątek. Że biedna wdowa poniosła krzywdę, wiedział to świat cały, ponieważ bogacz sypał złotem między sędziów i sprawę wygrał. Gdy wyrok ogłoszono publicznie, biedna wdowa zrazu nie chciała wierzyć własnym uszom, aż kiedy jej ten i ów rzecze, iż przegrała z bogaczem, wtedy za niesprawiedliwość doznała srogiej boleści, aż się zapomniała i na głos wyrzekła:

— Gdyby mię tu dyabli sądzili, sprawiedliwszy byłby wyrok!

Sroga to była dla sędziów obraza i według prawa mogli ją surowo ukarać, ale że byli nieczystego sumienia, udali więc, jakby nic nie słyszeli i odeszli do domów, a tylko pisarze sądowi zostali na miejscu.

Aż tu na jeden raz robi się niesłychany hałas na ulicy, i przed trybunał zajeżdża mnóstwo karet i wysiadają jacyś panowie, dziwnie ustrojeni, w paradnych sukniach, ale z rożkami i długimi ogonami, które im wystawały z pod sukien, a wszyscy walą po schodach do izby sądowej. Przyszedłszy tam, zajmują miejsca sędziowskie i wygodnie rozpierają się na nich.

Widząc to obecni pisarze, potruchleli, miarkując, że owi panowie, to szatani.

Wtem dyabeł, który siedział na pierwszem miejscu, wprowadził sprawę biednej wdowy. Na rozkaz wystąpiło dwóch dyabłów, niby adwokatów, jeden za bogaczem, drugi za wdową, a inni siedząc w krzesłach, słuchali z powagą.

Skoro ci dwaj skończyli, poczęła reszta siedzących naradzać się między sobą; wtedy znów najstarszy przywołał jednego z prawdziwych pisarzy, kazał siadać i wziąć pióro do ręki. Biedny człowieczyna, dygocąc na całem ciele i na pół umarły z bojaźni, ledwo się przywlókł do stołu i pisać zaczął wyrok, słowo po słowie, jak mu dyabeł dyktował.

I pokazało się z tego wyroku, że nie bogacz, ale pokrzywdzona wdowa wygrała.

Wtedy to Pan Jezus, widząc, iż czarci sprawiedliwszymi się okazali, aniżeli sędziowie, ze zgrozą zasmuconą twarz odwrócił i już jej nie pokaże, aż się stanie święta sprawiedliwość. Wyrok został na stole sądowym, podpisany, poczem szatani zniknęli w jednej chwili.

Pisarze zaś tam będący, którzy własnemi oczyma patrzyli na to, opamiętawszy się z przestrachu, drapnęli w nogi, co sił starczyło, i po całem mieście rozniеśli o tem wiadomość.

Naturalnie, iż nikt im nie dał wiary; myślano, że się pisarzyska popili, lub co gorsza powaryowali. Aż tu nazajutrz w rzeczy samej, widząc na stole ów wyrok podpisany przez dyabłów, a Pana Jezusa z odwróconą twarzą na krzyżu, uwierzyli wszyscy i na wieczną pamiątkę złożyli to sprawiedliwe pismo szatańskie obok innych sądowych.

Twarz Pana Jezusa na krzyżu jest ciągle odwrócona, aby ludziom przypominać, iż mają być sprawiedliwi.

Józef Waszek.

Dawniej a teraz.

(Obrazek z życia staropolskiego).

Przed kilkuset laty było u szlachty w Polsce zwyczajem, iż śluby małżeńskie tylko w dojrzałym wieku zawierano. Kawaler przebywał w obozie do lat 35, panna zaś zostawała przy rodzicach do lat 28. Upatrzywszy młodzian pannę, którą poślubić umyślił, oznajmił to ojcu swojemu, a ten przyzwał mównego dziewosłębia (starostę) i prosił go o pomoc.

Dziewosłęb ów, siadłszy na konia, pojechał do wskazanego sobie dworu. Na podwórzu już, zsiadł szy z konia, za uzdę go przytrzymał, do okna zbliżył się, zapukał wołając, n. p.:

— Pan Paweł z Wierzbowa mile waszmość pozdrawia i radby wiedział, czy waszmość na to pozwoli, o co się on przezemnie pytać będzie?

Na to pan Piotr z Rzegowa odpowiedział:

— Słucham panie sąsiedzie.

— Oto pan Paweł ma parobka, już mu się do 40 lat zbiera, a słyszał, że waszmość masz dziewkę już także dorosła, a zatem jeślibyś waszmość pozwolił, toby się pobrali.

— Wstąpcie ino do nas — odpowiedział gospodarz — to o tem pomówimy.

Dziewosłęb uwiązał konia u kółka przy oknie, przygładził czuprynę czapką, podkręcił wąsa i poszedł do izby, gdzie zastał już stół nakryty, a na nim sól i chleb na talerzu.

Pierwsze powitanie było:

— Panie sąsiedzie zjedzcie chleb z solą, byle z dobrą wolą.

Wtem zawołał na żonę:

— Moja pójdźcie jeno do nas!

Gdy przyszła, rzecz jej opowiedział w krótkości, na co ona się odezwała:

— Jak się wam panie widzi.

Zawołano teraz córkę, do której tak się odezwał ojciec:

— Moja dziewko, jużeście się dosyć u nas kądzieli naprzędli, czasby też wyjść na swój chleb; a to Panu dziękuj, że sąsiad nasz, pan Paweł ofiaruje ci swego parobka. Jakże, zezwalasz na to?

Córka upadła do nóg rodzicom na znak zezwolenia. Dziewosłęb nasypawszy teraz klejnotów w czapkę, wysypał je w fartuszek pannie młodej, mówiąc:

— Pan Paweł od swego parobka na ten dar prosi, przyjm waćpanna wdzięcznie, aż się o więcej postara.

Ojciec wtem odpowiedział dziewosłębowi:

— Powiedzcie panu Pawłowi, że za trzy niedziele będzie wesele. Niech pan młody sprowadzi ze sobą skrzypków, ja też każę cielątko, kurkę jedną i drugą zabić, nasycić miodu i tak wespół cieszyć się będziemy.

Teraz zmieniły się te obyczaje, zmieniły się nawet co do szczegółowych drobnostek. Teraz najpierw sami młodzi zwykle się porozumią, zanim coś nieco o tem rodzice się dowiedzą. Panna ledwie od ziemi podlizie, a już o zamążpójściu myśli; to też nierzadkie są małżeństwa, że on prawie bez wąsów, a ona ledwo kilkanaście lat dopiero liczy. I niedobrze to jest, bo małżeństwo takie niema doświadczenia życiowego, nie umie się z biedą borykać, a przez to życie bywa kwaśne, oj, często bardzo kwaśne.

Dawniej wesele szlacheckie w roku 1683 trwało tydzień, wyszło nań wina beczek 10; w r. 1713 pięć dni, beczek wina 7; w r. 1763 trzy dni, wina beczka 1; w r. 1803 24 godzin, wina 100 butelek; zaś dzisiaj wesele trwa wieczór tylko, wypiją parę butelek wina przy cukrowej kolacyi.

Ze względu na długość wesel, to dziś lepiej, ale świadczyło to o zamożności dawnej szlachty.

KRONIKA.

Najzimniejszy lipiec. Rok 1902 miał najzimniejszy maj, rok 1905 najzimniejszy październik, rok 1906 najcieplejszy listopad, a rok 1912 najzimniejszy wrzesień; od r. 1755 t. j. od czasu, od którego można było przeprowadzić porównania w temperaturze, tegoroczny lipiec znów był najzimniejszym, jaki kalendarze notowały od 139 lat.

Ks. arcybiskup Simon proboszczem kościoła N. P. Maryi w Krakowie. Starodawna świątynia Maryacka w Krakowie otrzyma nowego proboszcza, ks. Simona, byłego biskupa płockiego, ofiarę prześladowań rządu rozyjskiego. Ks. arcybiskup Simon cieszy się czcią całego narodu, jako jedna z jasnych postaci wśród polskiego episkopatu, męczennik i ofiara bezprzykładnych prześladowań ze strony carskiego rządu. Kiedy rząd moskiewski usiłował dokonać zamachu na nasze prawa narodowe, ks. Simon jako biskup płocki nie zawahał się twardo i energicznie wystąpić przeciw temu. Za ten śmiały krok pozbawiono ks. Simona biskupstwa i skazano na wygnanie. Długie lata przebywał ks. biskup Simon w Rzymie, gdzie otrzymał tytuł arcybiskupa »in partibus infidelium«. Dzięki zabiegom księcia biskupa Sapiehy kapituła krakowska ofiarowała mu wakujące stanowisko archipresbitera przy kościele N. P. Maryi. Rząd rosyjski starał się za wszelką cenę przeszkodzić objęciu probostwa krakowskiego przez ks. arcybiskupa Simona. Właśnie rok dobiega od chwili, gdy rząd carski nawet interweniował w Wiedniu, by rząd wiedeński odmówił zatwierdzenia nominacyi ks. arcyb. Simona, obecnie jednak ks. arcyb. Simon uzyskał zatwierdzenie rządu i obowiązki swoje przy kościele Najśw. Panny Maryi w Krakowie rozpocznie spełniać już od września.

Wylew Sanu. Piszą nam z Przemyśla: W lipcu w wielu okolicach, wezbrane rzeki zniszczyły plony, zalały wsie i przedmieścia; ze wszystkich jednak miejscowości najwięcej ucierpiał Przemyśl i okolice; mieszkańcy przez parę ostatnich słotnych tygodni pozostawali w ciągłej obawie przed nowymi wylewami Sanu, który trzykrotnie już wystąpił z brzegów, wyrządzając znaczne szkody. Obecnie nawiedziły Przemyśl nowe deszcze i nawalnice. Dn. 2 i 3 sierpnia padał rzęsisty deszcz; ulicami nad Sanem popłynęły wnet strumienie wody. Przy ulicy Zielonej wał ziemi i kamieni usunął się na dwa do stoku góry przyczepione domki. Mieszkańców o północy przeprowadzono. Szkarpy usunęły się przy ulicach Szczytowej i wybrzeżu Franciszka Józefa. Woda zalała liczne ulice. Zalana została budowa kościoła na Zasaniu; dalej zakład ks.ks. Salezyanów, młyn parowy, gdzie woda wtargnęła aż do hali maszyn, magazyn prowiantowy i budynki kolejowe. Koło stacyi utworzyło się prawdziwe jezioro; torem płynęły potoki wezbranej wody. W domach, gdzie woda wtargnęła do domów, gdzieniegdzie na 1 metr wysoko, schronili się mieszkańcy na strychy, pozostawiając ruchomości w wodzie. Pomocy zagrożonym udzielała straż pożarna z wojskiem. Podobny zalew miał miejsce i we wsiach okolicznych: Buszkowicach, Pikulicach i Przekopowej. Szkody są olbrzymie.

Trojaczki. Z Trzebini donoszą: Żona funkcyonaryusza kolejowego p. Ł. w Ciężkowicach, powiła trojaczki. Rodzice niedługo jednak cieszyli się niezwykłem błogosławieństwem, ponieważ trojaczki zmarły.

Pogryziony przez psa. Przed kilku dniami u p. Stadniczenkowej, wdowy po dyrektorze Tow. Zaliczkowego w Kołomyi, zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, mogący zakończyć się śmiercią dziecka. Oto 3-letni chłopczyk p. Stadniczenkowej, bawiący się często bez obawy z dużym psem łańcuchowym, rozdrażnił psa do tego stopnia, że ten chwycił dziecko zębami za głowę i zdarł mu skórę z całej prawie czaszki i z czoła koło oka. Na widok jedynaka, zbroczonego krwią, p. Stadniczenkowa zemdlała. Obecny przypadkowo p. S. zwrócił się do bawiącego w sąsiednim domu lekarza z żądaniem pomocy. Jakież jednak było jego zdziwienie, kiedy lekarz ów oświadczył, iż p. Sadniczenkowa nie znała go wtedy, kiedy mąż chorował, on też obecnie nie potrzebuje również jej znać... Dopiero po jakich dwóch godzinach, kiedy upływ krwi groził jej dziecku śmiercią, wyszukano innych dwu lekarzy, którzy poszywali rozdartą skórę na głowie i czole i zapobiegli nieszczęściu.

Śmierć w nurtach wody. Dorastająca córka pp. Bystrzyńskich, Łucya, uczenica ostatniej klasy gimnazyum w Petrozawodsku, w Królestwie Polskiem, w gronie sióstr i znajomych wybrała się na przejażdżkę łodzią po jeziorze. Sześć osób (2 mężczyzn i 4 panny) siadło do łodzi i poplynęło na zdradliwą toń jeziora Ołonieckiego.



I oto, gdy młodzież wracała już, zerwał się wiatr, który wywrócił łódkę, a całe towarzystwo znalazło się w wodzie, której głębokość w tem miejscu wynosiła przeszło 20 sążni. Na krzyk tonących pośpieszyli łódką uczniowie seminaryum, którzy 5 osób uratowali, szósta zaś, Łucya Bystrzyńska, utonęła. Pomimo usilnych poszukiwań, ciała jej nie odnaleziono.

Żal krowy. Ciekawy bardzo, choć smutny wypadek zdarzył się w majątku Mularzach, w powiecie święciańskim, gubernii wileńskiej. Niedawno zarzynano tam małe cielę. A czyniono to w tej samej stajni, w której stała matka tego cielęcia. Biedna krowa, gdy ujrzała powalenie i krew swego dziecka, westchnęła tylko, oczy zaszły jej łzami i — padła bez życia na ziemię. A była to krowa zupełnie zdrowa, warta z górą 400 koron. Czy nie jest to wzruszające? Niejedna matka niedobra mogłaby wziąć przykład od nierozumnego zwierzęcia.

Prawdziwa a wesoła historya. Muzykant wojskowy Dymała złamał rękę i dostaje się do szpitala. Po skończonej kuracyi, gdy już może poruszać ręką, pyta go się lekarz sztabowy:

— No, możesz już bębnić?

— Nie, panie doktorze! — odpowiada Dymała.

— No, to musisz jeszcze kilka dni pozostać w szpitalu.

Po tygodniu powtarza lekarz swoje pytanie, a Dymała znów odpowiada, że nie może bębnić. Wreszcie kończy się ciepliwość lekarza i rozgniewany krzyczy:

— Czemuż u dyabła nie możesz bębnić?

— Bo jestem trębaczem a nie doboszem — odpowiada Dymała.

Polska ryba. Żydowska gazeta, wychodząca w Łodzi, w Królestwie Polskiem, p. t. »Lodzer Tagblatt», donosi, że w Brzezinach wydano zakaz, zabraniający używania karpi, jako ryby polskiej. Całe miasto, zapewne sami żydzi, usłuchało i przestrzegało nakazu jak dziesięciorga przykazań. W ubiegły piątek jednak kilku żydów zauważyło u pomocnika rabina karpia w naczyniu. Żydzi porwali karpia i pokazywali wszystkim. Zebrał się tłum żydów, który po prostu chciał ukamienować pomocnika rabina. Tak wielkie było ich oburzenie. — A możeby tak żydzi w Królestwie, nienawidzący Polaków, zaprzestali również jeść chleb polski i opuścili ziemię polską?

Zamordowani robotnicy polscy. W pobliżo Schafhauzsu, w Szlezwiku północnym, odkryto morderstwo rabunkowe, popełnione przed kilku dniami. W życie znaleziono tam dwóch robotników polskich. Jeden z nich zmarł wskutek zadanych mu ran. Robotnicy szukali w tej okolicy pracy i nocowali w polu, gdzie ich napadli nieznani sprawcy i odebrali im małą gotówkę pieniężną.

Podatek na kawalerów. Sejm małego księstwa Reuss, w Niemczech, zgodził się swego czasu na projekt rządu zaprowadzenia podatku na nieżonatych. Podatek ten pobiera rząd już od kwietnia r. b. W kołach interesowanych uprawia się obecnie agitacyę za zniesieniem tego prawa wyjątkowego. Pewien majętny kawaler, który miastu stołecznemu Reuss zapisał w testamencie 50.000 marek, obecnie odwołał zapis. Wielu nieżonatych opuszcza księstwo i osiedla się gdzieindziej, aby nie opłacać tego podatku.

„Strach“ w górach styryjskich. Od kilku tygodni na ludność styryjską, w okolicy Stubalpu, padł strach. Codziennie znajdują na polanach rozszarpane owce i krowy. W ciągu ubiegłego miesiąca zginęło w ten sposób kilkaset sztuk bydła. Ludność, która mimo wielkich starań nie zdołała wpaść na żaden ślad niszczyciela ich dobytku, zaczęła mówić głośno, że w góry zakradł się jakowyś strach i drżała z obawy o losy dobytku, który jej jeszcze pozostał. Zdołano jej jednak wytłómaczyć, że o żadnym »strachu« niema mowy, tylko że bydło pada ofiarą jakiegoś drapieżnego zwierza. Zaczęto go szukać, ale nadaremnie. Wreszcie zdołano znaleść ślady całej gromady wilków, która widocznie skądś w tamte strony przybyła. Zarządzono więc olbrzymie polowanie. O godzinie 3 rano ruszyło na łowy na »stracha« 500 ludzi. I — nikt nie natrafił na ową gromadę wików. »Strach« zdołał się ukryć.

Pod gruzami domów. W miescowości Lowöte, na Węgrzech, wskutek długotrwałych i nader silnych deszczów nastąpiło obsuwanie się ziemi pod ulicami i drogami. Dotychczas zawaliło się 60 domów, a 160 grozi ten sam los. Katastrofa nastąpiła tak nagle, że wiele osób nie zdążyło się usunąć i poniosło śmierć pod gruzami zawalonych domów.

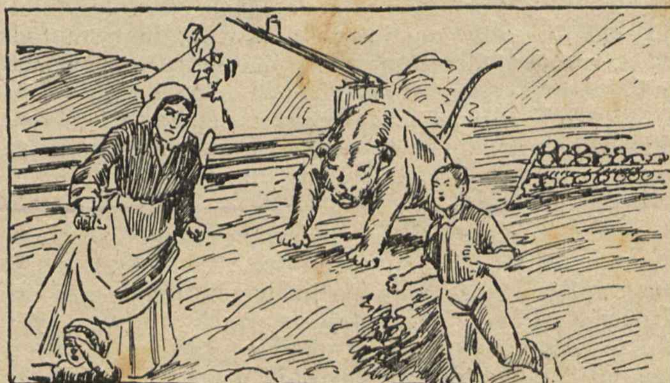
Śmierć matki i pięciorga dzieci od pioruna. Z Budapesztu donoszą: We wsi Bardo podczas silnej burzy, uderzył piorun w dom wieśniaka Nory. Wszyscy znajdujący się w domu, a więc żona Norego i pięcioro dzieci zginęło od pioruna. Nory jest w Ameryce, dokąd wywędrował za chlebem.

Odezwa. W dniu 4 lipca 1907 r. wybuchł w gminie Kisielów, Śląsk austr., wielki pożar. Między 26 budynkami, które do szczętu spłonęły, padł także ofiarą i starodawny, bo w roku 1706 wybudowany drewniany kościółek. Był wprawdzie ubezpieczony, ale otrzymane wynagrodzenie nie wystarcza na budowę nowego kościoła. Jesteśmy w gminie już szósty rok bez domu Bożego, co nas niezmiernie boli. O własnych siłach nie możemy niestety zabrać się do budowy kościoła. Prócz szczupłych dochodów z rolnictwa nie mamy innych zarobków. Katolicy kisielowscy pukają zatem z ufnością do szlachetnych serc i proszą jak najuprzejmiej o łaskawe poparcie koło odbudowania nowego kościółka. Nie odrzucajcie nas drodzy bracia Polacy, znani szeroko ze swej ofiarności i gdzie tylko się nadarzy jaka sposobność, raczcie wybrać coś na nasz nowy kościół.

Cokolwiek drodzy chrześcijanie na dom Boży wydacie, nigdzie tego nie poznacie, a Wszechmocny Wam to stokrotnie nagrodzi; choćby najmniejszy datek od Was z największą wdzięcznością będzie przyjęty. Plany budowy mamy już wygotowane i z przyszłą wiosną chcemy budowę w Imię Boże rozpocząć. *Komitet kościelny w Kisielowie*, p. Ogrodzona, Śląsk austryacki. *Karol Stwiertnia*, przewodniczący.

Samobójstwo za pomocą dwóch rewolwerów popełnił młody urzędnik namiestnictwa Lehuer we własnem biurze. Przyłożył do głowy dwa rewolwery, pociągnął równocześnie za cyngle u obu i wpakowawszy sobie w głowę dwie kule, padł trupem. Przyczyną samobójstwa była choroba nerwowa.

Lew we wsi. We wsi Röblingen, koło Halle, pojawił się niedawno lew, co wywołało w całej wsi olbrzymi popłoch. Kobiety i dzieci uciekały z przerażeniem na widok lwa, który przez godzinę blisko uganiał po wsi.



Nareszcie kilku odważniejszych mężczyzn otoczyło lwa i zapędziło go do stodoły, gdzie go zamknięto. Dyrektor ogrodu zoologicznego z Halle, którego przywołano, stwierdził, że to nie lew zwyczajny, ale puma amerykańska. Skąd się wziął we wsi, z której menażeryi uciekł, nie zdołano stwierdzić. Narazie umieszczono go w zoologicznym ogrodzie w Halle.

Kto je czosnek, długo żyje. Chorwacki lekarz, Dr Gundrum, udowadnia, że Bułgarzy dlatego żyją długo, gdyż zjadają dużo czosnku. Jest to u nich poniekąd narodowa przyprawa wszelkich potraw. »Czesznakowa czorba«, to jest zupa czosnokowa, stanowi najczęściej używaną potrawę w całej Bułgaryi. Po dłuższych wywodach Dr Gundrum dochodzi do przekonania, że Bułgarzy zawdzięczają długie swoje życie nie czemu innemu, tylko spożywaniu czosnku w wielkiej ilości, że więc czosnek jest środkiem do przedłużenia ludzkiego życia; z powodu swoich chemicznych właściwości działa on oczyszczająco na cały przewód pokarmowy i ochroni go od chorób. Jest to sprawa bardzo ważna, bo gdy człowiek ciągle dobrze trawi, to oczywiście jest zdrowy i może żyć długo. Czosnek był już znany w bardzo dawnych czasach. Izraelici jadali go w Egipcie, a Egipcyanie uważali go za wielki przysmak. Do dziś dnia i u nas czosnek uważany jest za środek leczniczy.

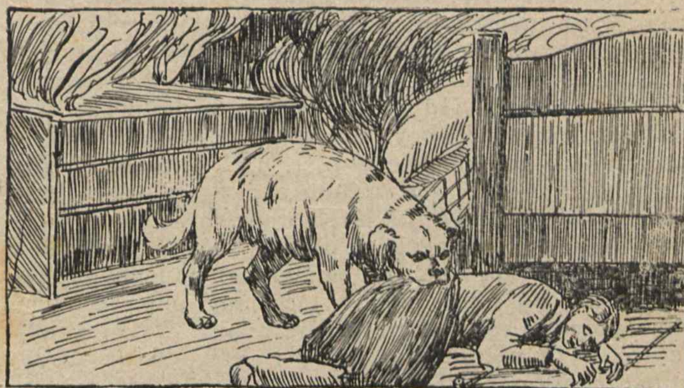
Płonący ludzie. Pisma rosyjskie podają wstrząsające szczegóły strasznego pożaru na polach naftowych Mantaszewa w Baku. O godz. 2 w nocy na jednym z placów w Romanach wytrysnęła fontanna ropy naftowej w głębokości 280 sążni, wyrzuciwszy w przeciągu 5 godzin 120 tysięcy pudów nafty. Administracya wydała rozporządzenie, aby robotnicy skierowali potoki nafty do wielkiego basenu. Nagle nastąpił wybuch. Pokazał się ogień i wydobywająca się ropa utworzyła pierścień ognisty, wewnątrz którego rzucali się oszaleli z przerażenia robotnicy. Administracya zdążyła w porę usunąć się od fatalnego kręgu, lecz robotnicy, ogarnięci nagle płomieniami, nie mogli się uratować i spłonęli w oczach tłumu, jak żywe pochodnie. Ilu zginęło ludzi w płomieniach, nie stwierdzono. Żaden z robotników nie zdołał się wyratować. Tłum chciał przyjść z pomocą płonącym ludziom, sypiąc na nich ziemię i piasek, lecz bezskutecznie. Pożar przybrał olbrzymie rozmiary. Przez kilka dni ogień zniszczył 1,000:000 funtów nafty dziennie. Płonąca fontanna, sięgająca wysokości kilkudziesięciu sążni, przedstawiała obraz straszny i fantastyczny, oświetlając wszystko w promieniu 50—60 kilometrów. W Baku, odległem od miejsca pożaru o 14 kilometrów, było jasno, jak w dzień.

Oszustwa rosyjskie. W jednej z gazet petersburskich znajduje się opis wypadku, który rzuca jaskrawe światło na stosunki, panujące wśród rosyjskich urzędników. Po wielkich uroczystościach carskich w Kijowie w roku 1911, z kancelaryi carskiej wysłano do zarządu poczt i telegrafu cztery brylantowe broszki, jako carski podarunek dla telegrafistek, które w czasie uroczystości pełniły służbę. Ministerstwu dworu carskiego przedłożono listę panien, które miały otrzymać ten carski prezent. Pomiędzy niemi znajdowała się też panna Dowiakowska, kuzynka inspektora kijowskiej poczty. Oczywiście kuzynka dostała cenny prezent. Obecnie, a więc po dwóch latach dopiero, przypadkiem okazało się, że w całym kijowskim okręgu, nietylko w Kijowie, żadnej telegrafistki, nazywającej się Dowiakowska, nie było i że dyrekcya poczty umyślnie zmyśliła to nazwisko, żeby sobie broszkę zabrać.

Upały w głębokiej Rosyi. W roku bieżącym, jak donoszą pisma rosyjskie, lato w gubernii archangiejskiej jest osobliwe. Począwszy od końca czerwca tak w Archangielsku, stanowiącym port nad morzem Białem, jakoteż w powiatach, ludności dokuczają nieznośne upały. Upały te budzą podziw gości z południowych krajów, którzy zapragnęli zapoznać się w ciągu lata z północnymi kresami Rosyi. Ciepłota dochodzi tam do 38 stopni R. Wskutek tego trawy i zboża na prowincyi schną, tak, iż grozi zupełne zmarnowanie plonów, które świetnie się zapowiadały. Z powodu suszy kraj zalewają ognie i dymy pożarów. Dym z lasów płonących rozciąga się na dziesiątki kilometrów. Nad całą gubernią unoszą się chmury dymów dniem i nocą. Lasy płoną ze wszystkich stron i przy obecnej posusze niepodobna nawet walczyć z pożarami. Ludność oczekuje z upragnieniem deszczów, które jedynie mogłyby się przyczynić do ugaszenia pożarów. Las około wsi Gbacza płonie już od 14 dni, rzucając łunę na szeroką połać kraju. Rozciąga się on na wielkiej przestrzeni i prawdopodobnie cały spłonie. W rzekach obniżył się poziom wody tak znacznie, iż parostatki kursują z wielkim trudem, a w niektórych miejscowościach komunikacya rzeczna zupełnie przerwana. Tak przedstawia się smutny obraz lata na dalekiej północy.

Śmierć dziewięciu praczek. Z Genewy, w Szwajcaryi, donoszą: Tuż pod mostem na Rodanie, zdarzyła się katastrofa. Łódź, na której pracowało jedenaście praczek, naraz załamała się, wszystkie praczki wpadły do wody, a ponieważ Rodan jest tam bardzo rwący z powodu otwartych powyżej mostu śluz, zaledwie dwie z nich zdołały się uratować. Dziewięć praczek utonęło.

Wyratowana z płomieni przez psa. W pewnej miejscowości niemieckiej wybuchł pożar, który zniszczył trzy gospodarskie zabudowania. W czasie pożaru wydarzyła się niezwykła scena.



Oto pies, należący do pewnej chorej staruszki, widząc, iż nieszczęśliwej nikt nie przychodzi z pomocą, szarpał ją za odzienie i szczekał do tej pory, dopóki nie przyszła straż i nie wyniosła staruszki na dziedziniec. Scenę tę przedstawia nasza rycina.

Dowcipny wieśniak. Jedna z gazet włoskich opisuje zabawną scenę uliczną w Rzymie. Na jednej z ulic stał biedny mały osiołek, który nie mógł wyciągnąć wózka naładowanego cegłami. Obok wózka znajdował się woźnica, który tłukł niemiłosiernie biedne zwierzę i krzykiem zachęcał je do pracy. Naraz nadchodzi jakiś pułkownik. Przez kilka minut przypatrywał się tej scenie, wreszcie zbliżywszy się do woźnicy, krzyknął:

— Co wy robicie? Zaprzestańcie w tej chwili bicia! Czyż wam nie wstyd katować to biedne zwierzę? Gdzie jest policyant? i t. d.

Woźnica wysłuchał spokojnie wszystkich zarzutów. Potem rzucił bat na ziemię stanął przed osłem, zdjął pokornie kapelusz i rzekł uniżenie:

— »Mój kochany, bądź cierpliwy, znamy się oddawna a nie mówiłeś mi nigdy, że masz przyjaciół pomiędzy oficerami; ponieważ obecnie dowiedziałem się o tem, nie będę cię już nigdy bił. Proszę cię, przebacz mi!«

Pułkownik, który nie mógł powstrzymać się od śmiechu, szybko się oddalił, ale i chłop nie katował więcej biednego osła.

Niespodziewane szczęście. Pewien ubogi budnik kolejowy w Arlou kupił los wystawy w Charleroi, na który padła wygrana w kwocie 1 miliona franków. Budnik o nadzwyczajnem swem szczęściu dowiedział się, czytając gazetę na torze kolejowym. Przeczytawszy o wygranej, wpadł do mieszkania i uściskał żonę serdecznie, poczem wybuchnął głębokim płaczem ze wzruszenia. Następnie udał się do miasta, skontrolował urzędową listę wygranych i upewniwszy się o szczęściu, w filii banku belgijskiego umieścił swój wartościowy los, w obawie, by go nie zgubić. Na zapytania dziennikarskie odparł, iż wobec tak radosnego wydarzenia weźmie dzień urlopu, następnie uda się do służby; dopóki bowiem niema »miliona w garści« nie chce niczego planować.

Piszący telefon. Z każdym dniem pojawiają się coraz nowe wynalazki. Wiadomo niejednemu, jaką wielką przysługę oddają ludzkości telefony, za pomocą których można się rozmówić nietylko

w obrębie jednego miasta, ale nawet na odległość kilkudziesięciu mil. Telefony jednak mimo znacznych ulepszeń posiadają jeszcze wiele wad. Można niedosłyszeć lub nie zrozumieć słów, pomylić się w liczbach, ktoś może innym telefonem podsłuchać jakąś ważną rozmowę, wreszcie zdarza się, że chcąc się telefonicznie rozmówić, nie może go przywołać do telefonu, bo go niema w domu. Aby tym przeszkodom zapobiedz, udało się uczonym wynaleść telefon piszący. Wynalazł go jakiś Amerykanin — oczywiście! Wystarczy tylko mówić, a telefon zapisuje wszystko, i to pismem maszynowem. Rzecz urządzona jest w ten sposób. Oba telefony, t. j. aparaty, posiadają każdy abecadło, złożone z liter w rodzaju czcionek drukarskich. Gdy wymówi się do jednego przyrządu naprzykład słowa »proszę«, spadają w drugim przyrządzie kolejno litery p, r, o, s, z, ę, na papier i podnoszą się. W ten sposób zapisać można telefonicznie całe strony. Jakiś Niemiec, bremeński inżynier Alfred Rapenecker, ulepszył ów aparat, lecz zbudował go na znacznie zmienionej podstawie. Telefonujący nie może mówić, lecz musi napisać to, co chce powiedzieć. Równocześnie aparat w danej miejscowości pisze te same litery i cyfry, ściśle utrzymując charakter pisma. W tym wypadku rzecz dzieje się więcej na podstawie telegrafii i światło odgrywa wielką rolę, zwłaszcza, że przyrząd »odbiera« pismo tylko na papierze bromowym (podobnie jak fotografie). Ten najnowszy telefon piszący, przezwany przez wynalazcę »Telefantografem«, wprawdzie jeszcze nie wszedł w powszechne użycie, ale po udoskonaleniu oddа ludzkości ważne usługi.

Babskie wojsko. Od szeregu lat panuje w Anglii zwyczaj, że kobiety, mając zamiar poświęcić się służbie wojskowej — uprawiają przez letnie miesiące ćwiczenia wojskowe i w tym celu gromadzą się w polnych obozach. Zwyczaj ten, początkowo mający cechy swobodnej dosyć i po części śmiesznej zabawy, zyskał dziś na powadze i znaczeniu. Obecnie w południowych prowincyach Anglii jest więcej niż trzydzieści obozowisk kobiecych. W każdem z nich ćwiczy 30 do 50 dobrze wymustrowanych niewiast. Ćwiczenia są wszędzie te same. W niektórych obozach mają kobiety ścisłą instrukcyę wojskową, nie różniącą się niczem od pospolitego ruszenia. W innych zatrudnione są w służbie sanitarnej, w lazaretach Czerwonego Krzyża, gdzieindziej wprawiają się w służbę wywiadowczą lub jako furażerki dostarczają żywności i amunicyi. 15 do 20 dni trwają ćwiczenia letnie. Konnica damska (są bowiem i »kawalerzystki«) musi sama czyścić konie, załatwiać wszelkie zakupna w pobliskich miasteczkach. Muszą rąbać drzewo, gotować, prać. O godzinie 6 zrana są już na nogach, o godzinie pół do 11 wieczór w łóżkach. Angielskie ministerstwo wojny odnosi się bardzo sympatycznie do kobiecej organizacyi wojskowej i dostarcza im darmo materyału potrzebnego. Prócz tego udziela im jako instruktorów swoich oficerów. 3000 do 4000 młodych kobiet jest rok rocznie w lecie w ten sposób zatrudnionych.

Zatonięcie okrętu. Koło przylądka El Ferrol zatonął duży austryacki parowiec »Klara Kamus«. Według nadeszłych do Tryestu wiadomości, katastrofa zaszła wśród następujących okoliczności. Parowiec płynął w ubiegły poniedziałek koło przylądka Vilano. Panowała straszna mgła. Okręt płynął bardzo wolno; naraz natrafił na skałę, najechał na nią, ale przez zręczny manewr udało się go wydobyć ze skały i zesunąć na wodę. Wskutek uderzenia o skałę otworzyło się w okręcie kilka dziur. Puszczono więc w ruch wszystkie pompy, jakie były na statku i skierowano okręt w kierunku najbliższego portu, mianowicie El Ferro. Pompy nie były jednak w stanie usunąć zbierających się coraz większych mas wody i parowiec, który w takim stanie przepłynął już 40 mil morskich, tuż u wejścia do portu Ferrol tak się napełnił wodą, że zatonął. Załoga zdołała na kilka minut przed katastrofą dopaść łodzi ratunkowych i uratować się. Okręt wiózł ładunek 400 ton węgla z Cardifu do Poli. Był to jeden z większych okrętów handlowych, długość jego wynosiła 97 metrów, szerokość 13 metrów.

Amerykańskie śluby. Podczas gdy w »zacofanej« Europie małżeństwa kojarzą się w dawny sposób, w Ameryce już dawno z tego utworzył się zawód. Kraj ten zdaje się ubiegać o zaszczyt uchodzenia za kraj nieograniczonych możliwości. »Branża małżeńska« wytworzyła tam już kwitnący przemysł, który daje utrzymanie tysiącom agentów, pastorów i »świadków«. Handlarz bydła [na przykład, który z jakiegobądź powodu zbankrutował, kupuje już nazajutrz czarną togę pastorską, wynajmuje próżny kościół protestancki i zostaje »pastorem«, w gazetach ogłaszając jako »specyalność« dobrą obsługę przy zawieraniu małżeństw. Dawniej w Ameryce zawsze jeszcze przy zawieraniu małżeństw spełnić trzeba było warunki jakieś, i nieraz trwało nawet i pół godziny, zanim szczęśliwa para paść sobie mogła w objęcia. Obecnie nie potrzeba do tego i pięciu minut, bo konkurencya pomiędzy »przedsiębiorcami« małżeńskimi doprowadziła już tę gałąź »przemysłu« do wysokiego rozwoju. Można tam wziąć ślub na dachu najwyższego drapacza chmur, w głębi kopalni, w automobilu, lub na lokomotywie pociągu towarowego, a niedawno powstała jako »nowość« specyalność udzielania ślubu wysoko w chmurach, na latawcu. Kto chce zaoszczędzić pieniędzy, każe sobie dać ślub w oknie wystawowem jakiego domu towarowego. Firma ogłasza to poprzednio w gazetach, bo to dla niej stanowi świetną reklamę, za co oczywiście parze młodej dostarcza stroju ślubnego. Nierzadkie są wypadki brania ślubu na wiecach publicznych, w oczach tysięcy zgromadzonych. Państwo młodzi wygłaszają następnie mowy za swymi kandydatami. Niektórzy pomysłowi kandydaci stanu małżeńskiego urządzają loterye, a główna wygrana stanowi osobę spragnionego jarzma małżeńskiego kandydata. Naturalnie sport małżeński stanowiłby tylko połowę przyjemności, gdyby nie istniała możliwość równie szybkich rozwodów. I o to już się postarano w Ameryce, a w małem miasteczku Reno, w Stanie Newada, istnieje główne centrum »przemysłu« rozwodowego. Kto chce rozwodu, zajeżdża tam, swój bilet wizytowy oddaje w hotelu kelnerowi i nie troszcząc się o nic, wychodzi. Nazajutrz »wolny« wraca z powrotem, aby szukać nowej żony. Rozumie się, że wymienione wyżej »małżeństwa« i rozwody możliwe są tylko w licznych sektach protestanckich. W Kościele katolickim podobne »sporty« są wykluczone.

Pszczoły bez żądła. Pewnemu pszczelarzowi w Ameryce północnej udało się, jak donoszą gazety amerykańskie, wychować gatunek pszczoły, co wywołałoby w dziedzinie pszczelarstwa wielki przewrót. Ten nowy gatunek pszczoły nie posiada żądła. W ciągu dalszych obserwacyj okazało się, że ten gatunek pszczół bez żądła przynosi hodowcy znacznie większe korzyści, aniżeli inne pszczoły. Pszczoły bez żądeł są silniejsze, zbierają znacznie więcej miodu, i wytwarzają miód smaczniejszy, niż pszczoły z żądłami. Doskonałaby to była »nowość«, byle prawdziwa.

Upały w Ameryce. Z Nowego Jorku donoszą: Nad zachodnimi i środkowymi Stanami przeszła fala gorąca. W Chicago wskutek udaru słonecznego

Prosimy najusilniej przy przesyłaniu prenumeraty **pisać wyraźnie** imię, nazwisko, miejsce zamieszkania i pocztę.

Baba daje na mszę świętą o przemienienie Pańskie, bo mówi, mam męża złego.

Ksiądz: A ty mu może nie ścierpisz?

Baba: A jakże, on mi słowo, ja mu dziesięć.

Ksiądz: Dajże i na drugą mszę świętą za siebie, to się oboje przemienicie.

Postęp.

Dawniej tylko jasne panie
Nosiły kolczyki,
Teraz mają je już świnie,
Krowy, woły, byki.

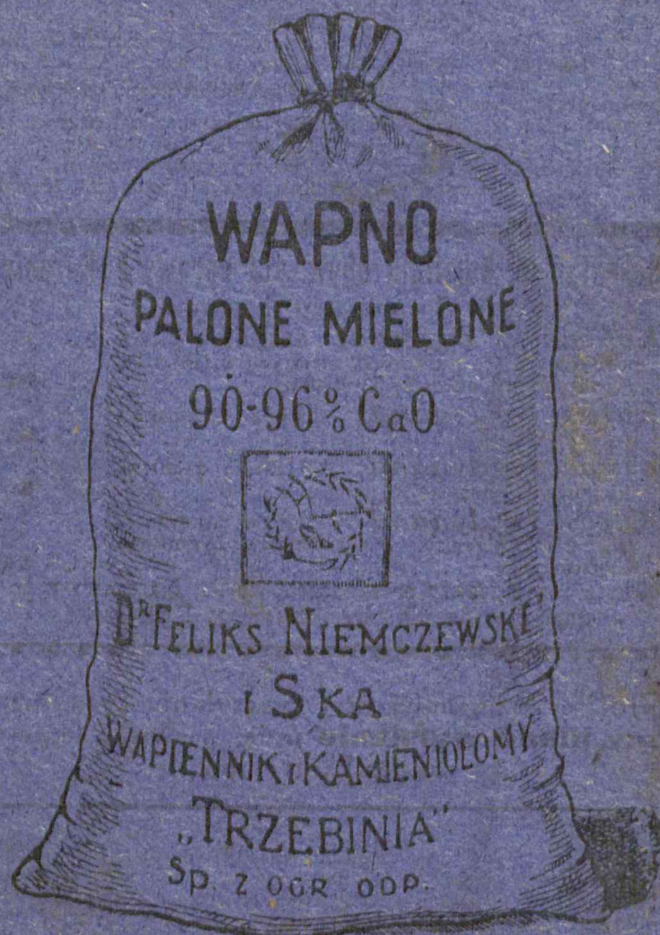
Gdy tak dalej postęp pójdzie,
To dostaną wnetki
Nasze zwierzęta domowe
Jeszcze bransoletki.

*

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia „Roli“.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

NAJWYŻSZE PŁONY ZAPEWNIA ROLNIKOM!



Dr FELIKS NIEMCZEWSKI i Ska

WAPIENNIKI, KAMIENIOŁOMY i MŁYN WAPIENNY „TRZEBINIA"

SP. Z OGR. ODP.

KRAKÓW, ULICA BRACKA Nr. 6.

TELEFON Nr. 2456.

BROSZURY i CENNIKI BEZPŁATNIE.

REPREZENTACYA NA GALICYE: DOM KOMISOWO-ROLNICZY „**PŁUG**" W KRAKOWIE, Rynek kleparski L. 5, telefon Nr. 1055.

Prawdziwym skarbem dla każdego Polaka i najpiękniejszym podarkiem jest piękna w treści i wykonaniu



która uznaną została za jedną z najlepszych, jako najobficiej zaopatrzona w dobór Nabożeństw na cały rok, Nieszporów, Litanij, Pieśni, Hymnów na wszystkie uroczystości kościelne.

Cena egzemplarza 2 korony

w ozdobnej oprawie płóciennej z futerałem i przesyłką pocztową.

Zamówienia wraz z należytością nadsyłać należy do administracyi „Roli".

Kto jeszcze nie posiada tak miłego towarzysza, jak

Maciek Bzdura

wesołe opowiadanie parobka wiejskiego,

niech natychmiast przysyła 2 Kor. a otrzyma go odwrotnie już z opłaconą przesyłką. Adres na przekazy: Antoni St. Bassara Kraków, ul. św. Tomasza 32.

Najlepsze czeskie źródło



Tanie pierze,

1 kg. szarego, dobrego, dartego 2 K.; lepszego 2 K. 40 h.; najl. nawpół białego 2 K. 80 h.; białego 4 K.; białego puchowatego 5 K. 10 h.; 1 kg. najl. śnieżnobiałego dartego 6'40, 8 k.; szarego puchu 6 k., 7 kor.; białego dobrego 10 kor.; najlep. puchu brzusznego 12 kor. Przy odbiorze 5 kg. franko.

Gotowa pościel

z gruboniciannego czerwonego, niebieskiego, białego, lub żółt. inletu (Nanking), 1 pierzyna 180 cm. dług. 120 cm. szer. z 2-ma poduszkami każda 80 cm. dług. 60 cm. szer. napełnione nowem, szarem, bardzo trwałem puchowem pierzem 16 K., półpuchem 20 K., puchem 24 K., pojedyncze pierzyny 10 K., 12 K., 14 K., 16 K., poduszki 3 K., 3 K. 50 h., 4 K., pierzyna 200 cm. dług., 140 cm. szer. 13 K., 14 K. 70 h., 17 K. 80 h., 21 K., poduszki 90 cm. dług. 70 cm. szer. 4 K. 50 h., 5 K. 20 h., 5 K. 70 h. Podścielki z mocnego gradlu w paski 180 cm. dł. 116 cm. szer. 12 K. 80 h., 14 K. 80 h. Wysyłki za zaliczką od 12 K., wysyłane są opłatnie. Zamiana dozwolona, za nienadające się zwrot pieniędzy.

S. BENISCH w DESCHENITZ Nr. 834, Czechy.

Bogato ilustrowany cennik darmo i opłatnie.

Rola niech będzie w każdej chacie
Ona rozrywkę da ci, bracie!
Lepszą naukę wniesie w progi
Aniżeli tygodnik inny, drogi.